

Konsultacja

Przełożyła Izabela Zając

Panie doktorze, popełniłem błąd, że nie zażyłem środków nasennych. Proszków, jak się mawia, choć jako dziecko nie mogłem zrozumieć, dlaczego słowem „proszki” określa się coś, co nie jest sypkie. Diazepam się nie sypie. Grozi natomiast, to znaczy jego używanie grozi – żeby ująć to trafnie, poprawnie, językiem właściwym dla formy pisanej, która różni się od potocznej mowy – stosowanie Diazepamu grozi rozwojem uzależnienia. Budowaniem uzależnienia. Cegielka po cegielce, tabletki po tabletkach, proszki po proszkach. Zażywałem go kiedyś, w dzieciństwie, kiedy nie mogłem spać, pewnie jak się rodzice rozwodzili czy jakoś tak.

Ostatnio, parę dni temu, zażyłem Diazepam schowany w kredensie na wszelki wypadek. Zadziałał. Zasnąłem. Była czwarta rano, bałem się, że nie zmrzęję oka, choć sen to kwestia przyzwyczajenia. Nie mam żadnego rygoru żywieniowego, nie jadłem śniadań o ósmej, obiadów o dwunastej, a kolacji o szóstej, jak zalecają kolorowe ulotki dotyczące zdrowego stylu życia w poczekalniach u lekarza. Jem, kiedy mi się zachce. Jem, kiedy jestem głodny. Piję, kiedy jestem spragniony. Często rezygnuję ze śniadania czy obiadu, a pierwszy posiłek spożywam o drugiej, a niekiedy nawet dopiero o piątej po południu. A na noc spokojnie opróżniam lodówkę i garnki, choć to rzadziej się zdarza. Wprawdzie żona gotuje od czasu do czasu, ale takie porcyjki, że tylko wyskrobać z patelni i już nic nie ma, nie sposób ich namiętnie odgrzewać ani podjadać na zimno (np. paprykarz, fasolówkę czy inne potrawy – jak mawiała babcia, jadło. Właściwie nie nadużywała tego określenia, kiedy pewnego razu go użyła, to trzy razy pytałem ją, co to jest. Jadło? Co to jest jadło? Kobięto, daj jadło! Ale moja żona nie wie, co to porządne jadło).

A zatem w przypadku snu też mógłbym wypiąć się na konwencje i polegać na potrzebach organizmu, nie zmuszać się do spania o północy, o jedenastej czy o drugiej. Ale w ciągu roku szkolnego muszę to robić, muszę się zmuszać, bo mam prawo jazdy i to właśnie ja, a nie ktoś inny, prowadzę samochód i zawożę dziecko do szkoły. Muszę więc funkcjonować bez zawahania, usiąść za kierownicą wypoczęty, poradzić sobie z korkiem w godzinach szczytu, wszystkimi debilami, którzy siadają za kierownicą, żeby mi zagrażać. Później praca, która też wymaga przytomności umysłu... Nie można polegać na apetycie, sen wymaga rygoru i ten fakt przynębia mnie, kiedy nie mogę zasnąć. A powinienem. Należałoby. Organizm jeszcze bardziej się buntuje.

Parę dni temu były wakacje. Końcówka wakacji, ostatnie dni, które jako dziecko lubiłem najbardziej. Nie chciałem ich zepsuć synkowi, który jest już dużym chłopcem, idzie do trzeciej klasy. Toteż obiecałem mu wycieczkę, ale miałem obowiązki zawodowe,

potrzebowałem snu. Od godziny przewracałem się z boku na bok, zastanawiałem się nad swoim zafajdowanym życiem. Nie leżałem obok żony, tylko na swojej kanapie. Jak zawsze w nocy wydało mi się niesprawiedliwe, że w ogóle się nie kochamy – może raz na miesiąc i tyle – że inni mężczyźni używają sobie partnerskiej rozkoszy, a moja żona zawija się w kołdrę i zasypia. Jakby mi kradła sen. Śpi za dwóch. Jak tylko włączam silnik, ogarnia ją sennaść, przy telewizorze, podczas wizyty, wszędzie kleją jej się oczy, błogość na twarzy, że nie musi już być ze mną, z nami, w towarzystwie, odplywa tam, gdzie chciałaby być przez cały czas, tak trochę nie być, ale nie pożegnać się z życiem na dobre – to właśnie atrybuty snu. Wierciłem się w łóżku, które było moją karą, śmiercią, myślałem o różnych kobietach, oprócz tej jednej, o której już nie mogłem ani nie chciałem myśleć.

Sen nie przychodził, więc zażyłem Diazepam. Po latach, może dwudziestu. Czy jest ryzyko, że się uzależnię? I będę go musiał używać co dwadzieścia lat? Wróciło. Nie potrafię zasnąć, ale nie mogę go zażyć, wypilem trzy kieliszki wina, boję się zatrucia. Ale wszystko po kolei. Od początku, panie doktorze.

Przed południem zadzwoniła do mnie mama, że ktoś im nasrał w kamienicy. Na klatce, akurat na jej piętrze. Jeszcze nigdy się to nie zdarzyło. Przez całe trzydzieści pięć lat, od kiedy pamiętam ten dom – wychowywałem się w nim. A tu nagle gówno. Mama była w złym humorze, ale utłukła kotlety, jak się mawia u nas na prowincji, zapraszała nas na obiad. Była niedziela, pierwszego września, wakacje dobiegały końca, następnego dnia zaczynała się szkoła, było mi smutno z powodu synka. Nie z powodu obowiązków, bo biedaczek nawet chętnie chodzi do szkoły, zasmuciło mnie spostrzeżenie, jak ten czas szybko leci. Jeszcze niedawno cieszyłem się, że odpocznę od wczesnego wstawania, a tu już dwa miesiące minęły. Nie tylko dla mnie, lecz także dla niego, synka. I absolutnie nic się z tym nie da zrobić. (Kiedy byłem dzieckiem, słyszałem w radiu ładną bajkę o przemijaniu – pewien chłopiec dostał czarodziejski młynek, chyba do kawy, i kiedy było mu źle, wystarczyło, że pokręcił korbką, a czas przesunął się do przodu, przeskoczył krytyczny moment. Kiedy zostawiła go dziewczyna, kręcił i kręcił histerycznie, kręcił, aż mu się młynek zatrzymał – ha, ha – ktoś młodszy w tramwaju ustąpił mu miejsca. A chłopiec, teraz już starzec, uświadomił sobie, że przemilił całe życie, w tym miejscu autor bajki był zgubiony, zrozumiał, że nie wepchnie happy endu, i szybko zakończył historię. Najwyraźniej nie była to żadna bajka, tylko niewydarzony felieton).

Od tej bajki zleciało już dwadzieścia lat, jak z bicia trzasnął. Ale smutny dzień, który przypomina mi o starości, trzeba przeżyć wesoło. Dzień wcześniej byliśmy na uroczej wycieczce za granicą, wróciliśmy wyczerpani i zmęczeni, po przejechaniu czterystu kilometrów nie miałem problemu z zaśnięciem nawet bez proszków. Rano pospaliśmy do dziesiątej. Następnie wzorowa małżonka przygotowała mi kawę, przy której rozmawialiśmy o polityce. Byłem trochę sfrustrowany obowiązkiem przeżycia tego dnia na wesoło. Ale nie poddałem się. Będą przeżycia, nawet jakby miały traktory padać.

Wpadliśmy z synkiem na pomysł, żeby przygotować tornister. Nie lubiłem tych przygotowań, mama zawsze kazała mi zatemperować wszystkie kredki i ołówki, wyprostować

linijki i tak dalej. Ostatnie dni wakacji były kompletnie zmarnowane. Obawiałem się, że mógłbym je w ten sam sposób zepsuć synkowi, ale ponieważ było dopiero południe, a wczorajszy obfity program sugerował, że dziś miło byłoby się donikąd nie spieszyć, przedstawiłem swój pomysł.

Chłopiec był pełen entuzjazmu. Zaczął szykować tornister. Ale okazało się, że ma bałagan na biurku. Chcieliśmy je uprzątnąć i okazało się, że trzeba posprzątać cały pokój. Wszędzie był nieporządek. Uniemożliwił rozpoczęcie roku szkolnego.

Ogarnęliśmy porozrzucane zabawki, klocki lego i inne rzeczy. Odkurzyliśmy dywan, piórka, które zgubiły nasze ptaki, czyli dwie zeberki i kanarek, poukładaliśmy książki na półce. Pokój nagle wydał się dwa razy większy. Następnie zajęliśmy się szkolną wyprawką. Posegregowaliśmy stare papiery na trzy kupki: do wyrzucenia, zeszyty, które mogą się jeszcze przydać i zupełnie nowe, które będą potrzebne w nadchodzącym roku szkolnym.

Synek oceniał każdy rysunek, żebyśmy nie wyrzucili czegoś przydatnego. Na przykład trójwymiarowego wizerunku głowy dinozaura, bo to ważne. Albo różnych schematów, na podstawie których przeprowadza doświadczenia, czy obrazka Pana Boga z olbrzymim sercem, do którego wchodzi małe ludziki – uczyli się tego na religii.

Po dwóch godzinach pokój był czysty, biurko uprzątnięte, a tornister spakowany. Na dworze świeciło słońce, delikatnie przysłonięte chmurami kłębiastymi, złowieszczymi i fantazyjnymi, które w każdej chwili spokojnie mogą pogrozić kłęską żywiołową, ulewami i powodziami spowodowanymi gwałtownym spalaniem węgla do atmosfery i nasileniem efektu cieplarnianego. A zatem nie musieliśmy się nigdzie spieszyć, mogliśmy się delektować popołudniem, bez ambicji, żeby gdzieś się wybrać, coś zobaczyć i przeżyć. Wsiadliśmy do samochodu i pojechaliśmy do babci rzucić okiem na to gówno w kamienicy.

Nie sposób było nie zauważyć. Rzadkie, rozwolnione, posypane środkiem dezynfekcyjnym, na próżno czekało na resztki dobrej woli swojego właściciela, który by je sprzątnął.

Po obfitym obiedzie, zupie fasolowej, kotletach z ziemniakami, wybraliśmy się na spacer na łono natury, wciąż był na to czas, choć niebo zakryły brunatne chmury, a słońce już zachodziło. W powietrzu ćwierkały oknówki i jaskółki, szykowały się do odlotu.

Weszliśmy do winnicy obfitej w fioletowe dojrzewające winne grona, zobaczymy, jaki będzie rocznik 2002. Słońce właśnie chowało się za wzgórzem. Zrobiliśmy krok do przodu, zaszło, cofnęliśmy się krok do tyłu – krawędź jego ochrowej tarczy wynurzyła się nad postrzępioną linią lasu. Znów zrobiliśmy krok do przodu, następnie krok do tyłu, ale słońce już się nie pojawiło. Ostatecznie przypieczerowało ostatni dzień wakacji. Dotarło to także do żony, która zaczęła przepytwać syna z tabliczki mnożenia.

– Ile jest siedem razy siedem?

– Ech, mmmm, eeee, czterdzieści, hmmm, czterdzieści dziewięć.

Pochwaliłem syna, że jeszcze wszystkiego nie zapomniał, jestem jak Komenski, ciągle tylko chwale i prawie w ogóle nie ganię, ale nieraz krytykuję swoje otoczenie. Po tabliczce mnożenia przyszła kolej na abecadło i angielski.

Red, green, yellow, hand, eyes, good bye.

Wspinaliśmy się pod górkę zakurzoną drogą, nie mogłem się powstrzymać, zerwałem kiść winogron, darmowych, były słodkie. Po drugiej stronie drogi rosły jeżyny. Tę największą wsadziłem synowi prosto do ust. Jak mały melon. Taka była duża.

Na wzgórzu kończyły się winnice, zaczynał się las, na tle szarzejącego nieba wznosiła się Homola, regularna, stożkowata jak wulkan. Bez lawy i popiołu. Taka platoniczna. Korony buków i dębów przybrały ciemnozielony odcień, choć drzewa zaczynały już powoli żółknąć, liście w winnicy też.

– Widzieliśmy tu pójdzkę – pochwalił się mamie synek. – Właściwie to słyszeliśmy.

Parę dni temu, kiedy wakacje były w pełni, przyszliśmy tu na spacer sami, tylko syn i ja, bez mamy. Było jeszcze później, prawie ciemno i naprawdę zaskoczył nas pisk pójdzki w koronach drzew. Chyba że siedziała gdzieś na dachu domku za ogrodzeniem ogródków działkowych.

– Mówi się, że jak pójdzka piszczy, to ktoś umrze – rzekłem, chcąc stworzyć mistyczną atmosferę leśnego zmroku. Ale przyszło mi do głowy, że pójdzka ma na myśli właśnie mnie, czyli że nadeszła moja kolej.

– Ale to tylko taki przesąd, nie musisz się bać – dodałem pośpiesznie. Synek i tak się trochę bał, ale przekonałem go, że strach jest przyjemny i możemy wejść wąską ścieżką między krzakami do lasu, gdzie jest już zupełnie ciemno. Na przekór pójdzce weszliśmy do lasu, ale tylko na chwilę, żeby móc się pochwalić, że byliśmy. Synek, trzymając mnie za rękę, uciekał z lasu do winnic, gdzie było jeszcze trochę światła i dochodziły dźwięki z pobliskich ogródków pełnych ludzi odpoczywających podczas weekendu. Gdzieś niedaleko paliło się ognisko, piekała się kiełbasa, było ciepło, zauważył nas czyjś pies, zaczął szczekać. Poniżej pojawiły się światła miasteczka, jak błyski w niespokojnym ciepłym powietrzu, które biło od ziemi. Pomarańczowe światła latarni, jasne okna. Schodziliśmy w ich kierunku.

Choć minęło zaledwie kilka dni, zmierzch zapadł jakoś wcześniej. Pójdzka milczała. Nie było jeszcze ciemno, ale panowała cisza, ogrody opustoszały. Czas do pracy! Zaczyna się rok szkolny! Wszyscy się szykują, tylko my się włóczymy, bo już mamy wszystko gotowe!

Leśna ścieżka doprowadziła nas na polanę, w przekonaniu synka wydeptały ją owieczki, które widzieliśmy tu pewnego razu – paśli je jacyś młodzi ludzie. Przypomniałem sobie, że mam wobec syna dług – obiecałem mu, że pewnego letniego dnia wstaniemy bardzo wcześnie, o samym świcie i pójdziemy do lasu obserwować budzącą się przyrodę. Uświadomiłem sobie, że nie spełniłem obietnicy podczas wakacji. W przyszłym roku chłopcu nie musi już zależeć na jej realizacji. Szliśmy dalej leśną dróżką, wzdłuż której rosły zielone grzyby, najpewniej gołąbki, których nikt nie zebrał – podgrzybki, borowiki, maślaki, których czas minął. Ściemniało się, synek bał się, że spotkamy dziki, trzymał mnie za rękę. Ale zobaczyliśmy tylko węża w trawie, przekonywałem rodzinę, że to zaskroniec.

Wysliśmy z lasu, pod nami migotały światła miasteczka, ale powietrze było chłodne, jakby nawet pogoda stawiła wyraźną kreskę między wakacjami a jesiennym początkiem roku szkolnego. To będzie inny, lepszy rok szkolny, będę poświęcał synowi więcej uwagi,

uczył się z nim angielskiego, a przede wszystkim dopilnuję rozwoju jego talentu muzycznego.

Szliśmy zakurzoną drogą, objąłem żonę, w naszych relacjach to nieczęste zjawisko. Ale żona szła chwiejnym krokiem.

– Ty idziesz po prostej drodze, a ja muszę iść poboczem – rzuciła. Będę uważał i patrzył pod nogi. Pod nasze nogi. Ale żonie znów się nie spodobało, puściłem ją, niech sobie idzie sama.

– W parze idzie się inaczej niż samemu – powiedziałem, zwracając uwagę, żeby zabrzmiało to cholernie dwuznacznie i filozoficznie. Rozumiecie, chodziło o ten wyższy, bardziej ogólny wymiar, z którego miało wynikać, że jest egoistką nieprzygotowaną do współżycia, jak mi się w życiu zdawało i zdarzało.

– Szedłeś samym środkiem, a mnie zepchnąłeś na bok. Normalnie cię poprosiłam, żebyś się posunął, ale sam przyznałeś, że nie chce ci się iść poboczem. Nie moja wina, że w tych butach się potykam, jak muszę iść takim stromym zboczem, a na lepsze buty mnie nie stać – argumentowała.

Odnosiłem wrażenie, że wymyśliła całą tę historię, która nie mogła się wydarzyć w ciągu kilku sekund wspólnej próby objęcia się. Ale nie wiedziałem, jak to wyjaśnić, jak w prostych słowach ująć tak znaczne odchylenie jej interpretacji od rzeczywistości. Żona pogrążyła się w samotnym chodzie przesiąknięta własnymi myślami, moja ręka na jej ramieniu nie wyprowadziła jej ze z trudem osiągniętej równowagi. Byłem na nią zły, ale nie chciałem psuć synkowi ostatniego wakacyjnego wieczoru. Nie pokłóciliśmy się. Szedłem szybko i zastanawiałem się, czy nie powinienem się wybrać do psychologa i porozmawiać o kryzysie małżeńskim.

Wróciliśmy do domu, gówno leżało na klatce, babcia pisała list wzywający winowajcę do sprzątnięcia odchodów. Poprosiła mnie, żebym odpowiednio wystylizował wiadomość. Po przedyskutowaniu sprawy napisałem:

„Uprzejmie prosimy mieszkańca lub osobę odwiedzającą, która załatwiła potrzebę na IV piętrze, o uprzątnięcie swoich odchodów. Nasz dom jeszcze nie doznał tak ordynarnego przekroczenia zasad dobrego wychowania. Jeżeli się to powtórzy, zawiadomimy policję”.

(Halo? Policja? Mamy tu gówno...).

Na pierwszy rzut oka widać, jak wyważony jest ten komunikat. Uwzględniła możliwość, że nasrać mógł ktoś tutejszy lub obcy. Daje winowajcy możliwość naprawienia swojego występkę, a jednocześnie grozi, że następnym razem nie ujdzie mu to na sucho. Pracując nad tekstem, słyszałem, jak żona w kuchni wesoło rzuca dowcipne pomysły – uprzejmie prosimy srającego o uprzątnięcie gównien, a jednocześnie wyrażamy nadzieję, iż ta chwilowa słabostka więcej się nie powtórzy itd.... Później żona z synkiem pytali, czy nie można znaleźć sprawcy po DNA. Gdyby tak pobrać z gówna próbkę i porównać z DNA mieszkańców, można by było zidentyfikować srającego, oczywiście czysto teoretycznie.

Spakowaliśmy się i celowo przedłużyliśmy drogę do domu. Wstąpiliśmy jeszcze na deser lodowy, żeby synek uroczyście zakończył wakacje. Na ciemnej łtce przed zamkową winiarnią podziwialiśmy gwiazdy – Mały Wóz, Wielki Wóz, letnie gwiazdozbiory takie jak gwiazdozbiór Łabędzia, Orła czy Liry, ale nad horyzontem powoli pojawiały się już zimowe gwiazdy, Capella z gwiazdozbioru Woźnicy i Perseusz. Jakby przyniosły z sobą zimne powietrze. Powiedziałem synkowi, że kiedy jest chłodniej, lepiej widać gwiazdy – naprawdę, Droga Mleczna migotała nad nami tak, że było widać prawie wszystkie gwiazdy, które wchodzi w jej skład. Włączyliśmy ogrzewanie w samochodzie. Zajechaliśmy do piekarni po solanki i chleb, kupiłem jeszcze piwo, colę i kawałek masła. W domu stało się oczywiste, że po tak spokojnym dniu nie zasną.

Synek też nie mógł od razu zasnąć. Jego też przestraszyła wizja, że o siódmej rano musi być wyczępęty. A organizm w takich chwilach odmawia współpracy, wprost przeciwnie, odmawia posłuszeństwa. Z drugiej strony, cieszył się – że ma posprzątany pokój, przygotowany tornister. Taki był niecierpliw, że spakował wszystkie czyste zeszyty na wypadek, gdyby ich potrzebował.

– Jutro nie będzie lekcji – tłumaczyłem mu.

– Będą, zawsze są – powtarzał.

– Zobaczysz, załóżmy się – jeśli będą lekcje, dam ci pięćdziesiąt koron, a jak nie, to kupicie mi z mamą piwo.

– Jakie piwo? Dziesięciostopniowe?

– Dziesiątka wystarczy. Krusovice, Gambrinus albo Staropramen.

– Staropramen – powtórzył zadowolony synek i poszedł spakować zeszyty, zostawił tylko ten do angielskiego, bo nigdy nie mają angielskiego w poniedziałki.

– Nie będzie angielskiego ani żadnej innej lekcji – przekonywałem go, ale w końcu dałem mu spokój, niech sam się przekona. Najważniejsze, że się cieszy z powrotu do szkoły. Wiercił się w łóżku, położyłem się obok niego, samego mnie ogarnęła senność. Ale wiedziałem, że mnie nie zmorzy, że nie poddam się jej, nie wejdę do królestwa snów – kiedy syn zasnął, wstałem i nalałem sobie młodego wina. Zjadłem solanki i dolałem wina. Nie chciało mi się spać. Była pierwsza, druga, trzecia. Próbowalem nie popadać w rozpacz. Nie powinienem był pić, trzeba było zażyć Diazepam. Od dwudziestu lat go nie używałem, aż tu nagle w czwartek i w niedzielę... Trzy dni pod rząd... Bałem się uzależnienia, przed którym tuż obok przeciwwskazań (alkohol) przestrzegano ulotka.

Właściwie zdenerwowało mnie to, że kiedy leżałem z synem i drzemałem, żona czytała czasopisma. Jak tylko się rozbudziłem i poszedłem do kuchni i jak tylko na chwilę spuściłem ją z oka, szybko zajęła moje miejsce na szerokim łóżku obok synka, zwinęła się w kłębek, chroniąc się przed wrogim światem, przed mężem, który się jej brzydzi i tylko ze względu na syna i konwenanse nie chce się do tego przyznać i znów od trudów rzeczywistości błyskawicznie uwolnił ją słodki sen, który mi dosłownie ukradła wraz z harmonijnym życiem seksualnym. Nie uniosłem ciężaru początku roku szkolnego, nie zasnąłem.

Siedziałem w kuchni i starałem się nie ulec panice. Nagle żona wstała. Nie podeszła do mnie, nie pogłaskała mnie. (Wiesz, jeśli mi nie będziesz przeszkadzał, zdrzemnę się, a później jeszcze wstanę, mówiła dawno temu, w młodości, na początku naszego burzliwego związku, próbując mnie przekonać, że jej zasypianie nie musi zakłócać naszego pożycia seksualnego, że jeśli pozwolę jej swobodnie zasnąć i obudzić się, to między nami będzie wszystko w porządku). Wstała i zapytała:

– Jeszcze nie śpisz? Jak wstaniesz rano?

Następnie poszła do ubikacji, usiadła i sikała z przymkniętymi oczami.

– To jedyne, co cię obchodzi. Wszystko ci jedno, że nie mogę zasnąć, że cierpię z tego powodu – syknąłem. – Jestem waszym służącym.

Zauważyłem, że żona nie wraca z toalety. Położyła się na kanapie w ostatnim pokoju, co mnie kompletnie wytrąciło z równowagi.

– Dlaczego tu przyszłaś? – zapytałem.

– Możesz się położyć z Jankiem – odpowiedziała skulona w innym łóżku, w innej pościeli w swojej zwyczajnej pozycji, w której nikt jej nie dosięgnie, ani nieczuła ręką tkliwego męża, ani potworności życia, które musi dźwigać na swoich barkach, zwinęta jak mięczak w muszli bezpieczeństwa, nieświadomości i poniekąd niebytu.

– Chcesz mi w ten sposób pomóc w zaśnięciu? – powiedziałem. – Wcale mi to nie pomoże, bo normalny facet śpi z własną żoną, a ja się tego nie doczekam.

Wymawiając te słowa, uświadomiłem sobie, że właściwie nie mam ochoty dopraszać się od niej intymnego pożycia małżeńskiego, którego już nigdy nie doświadczę, chyba że się rozwiodę i ponownie ożenię.

Żona położyła się z synkiem, który spokojnie oddychał i przesypiał czas do rozpoczęcia kolejnego roku szkolnego, po którym zbliży się do prawdziwego dorosłego życia – opuści mnie, żebym mógł przeżywać takie samo piekło jak teraz, dziś, w nocy, kiedy nie mogę zasnąć ani zażyć proszków, które nie są proszkiem, bo się nie sypią i które grożą uzależnieniem, chyba że zażyje się ich tyle, żeby już nigdy więcej nie trzeba było ich używać, wówczas nie grozi żadne uzależnienie.

– Jakbyś nie była w ciąży, to bym się z tobą rozwiodł – mówię do żony, która już spokojnie oddycha, trochę się ożywiła i może dalej spać.

Mądrzejszy ustępuje, więc to ja kapituluję. Nawet rozwieść się nie mogę, bo mądra natura, wszechwiedzący Pan Bóg tak to wszystko zorganizował, że nam się przytrafiło dziecko, a naszego kryzysu małżeńskiego nie przypieczętuje tragedia, lecz nowa istota, która nas zjednoczy, jak tylko stanie się moją i opuści ciało żony. Właściwie to szczęśliwe rozwiązanie tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego.

To wszystko.

– Powiem panu, to straszne tak żyć... Pan to opisał z autopsji?

– Wie pan, panie doktorze, nie prowadzę żadnego dziennika, ale tego dnia musiałem to napisać...

– Powiem panu szczerze, nie da się tak długo wytrzymać.

– Nie da się? Ale przecież ja to napisałem pięć lat temu. Właściwie spakowałem to

do torby przypadkiem, miałem przygotowany wczorajszy dzień, chciałem go panu opisać, ale pomyliłem kartki... No... Pomieszało mi się, zabrałem notatki sprzed pięciu lat. Wie pan, co się od wtedy wydarzyło? Panie doktorze, chociaż opowiem.

– Panie Kostrnka, przykro mi, ale jest ósma, mam następnego pacjenta. Opowie mi pan następnym razem, podczas konsultacji.

– Dziękuję, panie doktorze, i do widzenia za kolejne pięć lat.

„Romboid” 2009, nr 4.



Zdjęcie Rast’o Čambál